

PAWEŁ ROSENHAYN.

## „PALADYN“

(Dokończenie).

— Ojóż, panie Jenkins, wtedy będę miał przyjemność zgromadzić około swego domu całą policję Chrystyanii.

— Nie oczekiwałem czego innego.

— Poza tem w pokoju, gdzie stoi kasa, ustawie oddział urzędników policyjnych.

— Rozumie się, że pan tak robi. Inaczej byłby pan partaczem.

— I mimo to?...

— I mimo to. Mimo to do trzech dni będę miał „Paladyna“ w rękach.

Blomdal głęboko zaczerpnął powietrza, po czem rzekł z lekkim uśmiechem:

— Kiedyż więc mam się spodziewać pańskiej wizyty?

— Tego jeszcze nie mogę powiedzieć. Ale pozwolę sobie moje przyjście zapowiedzieć pi semnie. Na razie chodźmy do obiadu.

W trzy dni później Blomdal, z twarzą zaczerwienioną od podniecenia, siedział w gabinecie prefekta policyi. Urzędnik już po raz trzeci odczytywał wytworny list, który mu przyniósł Blomdal, a na którym nie było nic więcej, jak tylko te słowa:

„Dziś w nocy, o godzinie pół do 1szej.

Joe Jenkins“.

Prefekt wstrząsnął głową.

— Proszę się tylko spuścić na mnie, kochany panie. Ten Amerykanin otrzyma u nas nauczkę, którą dobrze popamięta. Wracaj pan spokojnie do swej willi.

Nacisnął guzik telefonu i zawołał:

— Więc, inspektorze, pozostaje na tem, jak mówiłem. Trzydziestu ludzi obsławić dom Nr. 21, ulica St. Olaf. A sześciu sprytnych ustawić pan w pokoju, gdzie jest kasa.

Prefekt powstał i odprowadził gościa do drzwi.

— A co pan robi ze sobą, panie Blomdal?

— Ja naturalnie będę tam, gdzie kasa. Będę przy moim dyamencie.

— Dobrze. Gdyby zaś wydarzyło się co szczególnego, to proszę do mnie zadzwonić. Do mego mieszkania.

\* \* \*

Nad Chrystyanią zawisła łagodna noc pierwszej wiosny.

Po zaułkach cichej ulicy St. Olaf błędził wilgotny wietrzyk południowy. Latarnie uliczne z wolna gasły i nastawała ciemność, tylko z jednego domu poprzez gęste żaluzje przedzierały się promienie światła.

Ludzie, którzy po cichu i niespostrzeżenie otoczyli dom, stali bez ruchu i z uwagą patrzeli w głąb ulicy. Znikąd nie dochodził szmer.

W pokoju, gdzie stała kasa, siedział Blomdal z sześciu urzędnikami i rozmawiał z nimi półgłosem, spoglądając od czasu do czasu na zegar. Północ już minęła. Ciszy nocnej nie zakłócił nawet najlżejszy szmer. Nerwowe napięcie zaczęło działać na wszystkich, gorączkowe oczekiwanie wzrastało z minuty na minutę. W ca-

łym pokoju, we wszystkich mózgach, w całej tej męczącej atmosferze napięcia zdawało się drgać, jedno nie wymówione, ale wyczuwalne nazwisko: Joe Jenkins.

Wybił kwadrans na pierwszą. Uderzenie zegaru na wieży kościelnej grzmącym dźwiękiem rozległo się wśród ciszy nocnej.

Nagle w jednej chwili wszyscy naraz zerwali się z miejsc: w całym domu światło elektryczne nagle zgasło.

— Gdzie telefon, panie Blomdal? — zawołał inspektor policyi — Muszę natychmiast telefonować.

Blomdal wziął inspektora za rękę i zaprowadził do telefonu w kącie pokoju.

Inspektor zażądał numeru prefekta.

— Hallo. Tu inspektor Thostrop.

— Co nowego?

— Melduję posłusznie, tu w willi Nr. 21, ulica St. Olaf, zgasło nagle światło elektryczne.

— Właśnie doniesiono mi, że w całej tamtejszej dzielnicy zgasło światło. To chwilowe przerwanie w centrali dzielnicowej.

— Co mam robić, panie prefekcie?

— Pozostań pan tam. Ja przyjdę.

Za kilka minut na rogu ulicy i placu rozległ się szmer samochodu i nagle umilkł. Z wozu wysiadł prefekt i szybkimi lekkimi krokami ruszył do domu Nr. 21.

Jeden z policyantów przystąpił do niego i salutując służbowo, rzekł:

— Melduję posłusznie: światło zgasło, panie prefekcie.

— Wiem już. — odpowiedział tenże — Czy macie jakie światło na zapas?

— Zapaliliśmy świece.

Policyjanci otworzyli drzwi wchodowe, prefekt wszedł w mroczną sień.

W pokoju kasowym świeciły się dwie świece, utrzymujące wielką jego przestrzeń w półmroku.

W drzwiach rozległo się pukanie. Blomdal otworzył.

— Pan prefekt! — zawołał oddychając z ulgą.

— Jest co nowego? — zapytał prefekt krótko.

— Nic.

— Nic?

— Nic. Literalnie nic.

— Nikt nie próbował dostać się do kasy?

— Nikt.

Prefekt kiwnął głową, poczem zaczerpnawszy powietrza, zapytał:

— Czy jest pan pewny, że dyament znajduje się jeszcze na miejscu?

— To nie ulega wątpliwości!

— Proszę otworzyć.

Blomdal wydobyl z kieszeni klucz, podniósł zasówkę, nastawił alfabet zamku na znane słowo i wsadził klucz. Rozległ się lekki trzask i drzwi otworzyły się z wolna.

Prefekt przystąpił bliżej. Jego spojrzenie padło na czarne pudelko, leżące w malej przegrodzie kasy.

— Więc to jest ten sławny „Paladyn“ — mruknął i wyciągnął rękę ku kasie...

W tej samej chwili rozległ się dzwonek telefonu. Wszyscy zadrżeli wystraszeni.

Blomdal nerwowo chwycił za słuchawkę.

Równocześnie na wieży kościoła rozległy się dwa uderzenia: pół do pierwszej.

— No, co jest?

Blomdal ruszył ramionami:

— Nikt się nie zgłasza.

Prefekt nacisnął guzik u etui, przykrywką odskoczyła ze szmerem. Ośm głów pochyliło się nad skrzyneczką i z ośmiu ust wydarł się silumiony krzyk.

Skrzyneczka była pusta!

Prefekt pomięszany i błędy, spoglądał kolejno w twarze wszystkich mężczyzn, którzy stali przed nim przerażeni jak trupy i drżący.

— Jak sobie pan to tłumaczy, panie Blomdal — zapytał głosem, który widocznie drżał.

Blomdal jęknął, konwulsyjnie zaczerpnął powietrza i zwrócił na prefekta twarz, która wzmiocącym blasku świec była zieloną.

— Tu chyba musiał być sam dyabeł! — wykrztusił jakając się.

Prefekt zmarszczył brwi i rzekł surowo:

— Nikt nie śmie opuścić domu! Gdzie mieszka ten Jenkins?

— W hotelu Grand. Tak mi mówił.

Prefekt z gniewem trzasnął drzwiami i ciężkim krokiem zaczął schodzić po schodach. Z pochyloną głową i z wolna dowlókł się do rogu placu St. Olaf, gdzie czekał jego automobil.

W tejże samej chwili od strony zachodniej ulicy ukazał się drugi automobil. Na przodzie powiewała chorągiewka: była to oznaka policyi.

Automobil zatrzymał się przed domem Nr. 21. Z wozu wyskoczył mężczyzna i szybko wszedł do willi.

Policyjanci spojrzeli po sobie z osłupieniem, potrzęsali głowami, rzucili wzrokiem w stronę, gdzie błyskało jeszcze słabe światło oddalającego samochodu i znowu wpatrywali się we wchodzącego. Wątpliwości nie było: to był prefekt policyi! Ale, w takim razie... ów... ów, który właśnie odjechał...

Jeden z policyantów w milczeniu otworzył drzwi. Prefekt wszedł i ruszył schodami na górę.

Policyjant stojący w przedpokoju, otworzył drzwi wiodące do pokoju kasowego. Prefekt stanął na progu, spojrzał po zebranych i rzekł:

— No, wydarzyło się co?

Blomdal przystąpił bliżej i ochrypłym głosem rzekł:

— Nie, panie prefekcie, nic się nie zdarzyło od chwili, gdy pan prefekt odszedł.

— Od chwili... gdy odszedłem?... — powtórzył prefekt zdziwiony — Jak pan to rozumie?

— Że w tych pięciu minutach nic się nie zmieniło.

— Jakich pięciu minutach?

— No, gdy... — w jego głosie znać było lekkie zniecierliwienie — gdy przed pięciu minutami stwierdził pan, że kamień znikł.

— Ja?... Ja stwierdziłem?...

Twarz prefekta pokryła się rumieńcem.

— Ja stwierdziłem?... ja... ja przybywam prosto z mieszkania...

Nagle rozległ się przeraźliwy ryk Blomdala:

— Jenkins!

Jednym skokiem rzucił się Blomdal ku kasie, otworzył ją konwulsyjnie i szarpnięciem ręki wydobyl skrzyneczkę.

Wewnątrz na białym aksamicie leżała kartka z napisem:

„Otrzymałem. Dziękuję.

Joe Jenkins“.

K O N I E C.

